



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kóp. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

POGAWĘDKA.

W ostatnich latach byliśmy świadkami ciągłych prawie jubileuszów... Nie było roku, ażeby dwie, trzy nawet uroczystości tego rodzaju nie przypadały jednocześnie prawie, dwudziestopięćcio i pięćdziesięcio letnia, a jak ktoś złośliwy raz wyraził się był: że nie źle byłoby, co lat pięć urodzin mężów naszych zasługi, tem bardziej, właściwie dla tego, że oddawanie hołdu nie odbywa się bez obiadu, no i dodatków stosownych w postaci kielichów i butelek.

W jaki jednak sposób uczcić jubilata, jeżeli nie uczcą wspólną, biesiadą przyjacielską? Przysłowie powiada: „w hurti i kasza jst'sia“ a kiedyż jak nie przy stole, nie przy kielichu, gawędzi człowiek ochotniej; kiedyż więcej wywnętrzają się serca, bliżej poznają się ludzie, ścisłym węzłem przyjaźni nawet podobnych nie jest przecie chęć zjedzenia kawałka mięsa czy ryby i wypicie tyle a tyle szklanek wina, jeno zaakcentowanie wspólności w wyrazie ogólnego uznania bądź to przez kółko przyjaciół, bądź przez społeczeństwo całe. Przy biesiadzie ludzie poznają i zapoznają się bliżej, przy wspólnym stole zbliżają się zupełnie obcy sobie, a wymiana zdań nie mała nawet niekorzyść przynieść może. Nie jestem więc przekornym zebrań podobnych, i jeżeli jubilat przyjmujemy biesiadą, to nie dla tego, ażeby go nakarmić i napoić, tylko, aby dać poznać, że on imię jego, jego zasługi „gromada“ uznaje, że on jest tą nicią, która łączy serca i umysły, tym magnesem, który przyciąga ludzi ze sfer nieraz różnych.

Prawdopodobnie, że uczcą wspólną, uczczone będzie i dwadzieścia siedm lat pracy nauczycielskiej p. Floryana Łagowskiego.

Zawód to trudny, wymaga ogromnej cierpliwości, wytrwałości, wiedzy i niejednokrotnie zaparcia się siebie dla dobra wychowawców. Nauczycieli mamy dużo, lecz *dobrych* nauczycieli bardzo a bardzo nie wielu, bo nie dość jest *uczyć, wychować* jeszcze potrzeba, a mniejsza z rozumem może niż z sercem robota bywa. A przecie to ze szkół wychodzą przyszli obywatele kraju, wychowanie nawet domowe nieraz także od nauczyciela zależy, szczególnie w rodzinach zamożnych, gdzie rodzice mniej trudów wychowawczych na barki swoje biorą.

Ze wszystkich zawodów, zawód nauczycielski najmniej jest wdzięczny. Wymaga dużo pracy i poświęcenia, dużo cierpliwości i odwagi a rzadko kiedy wynagrodzony zostaje stosownie. Tym czasem niejeden cichy, skromny nauczyciel na niwie pedagogicznej, więcej społeczeństwu swojemu korzyści przyniósł, niż w danej chwili pisarz rozgłosny, cieszący się dobrze nawet zasłużoną sławą.

Do takich ludzi cichych, skromnych, do takich pracowników niezmordowanych, pługiem wytrwałości orzących twarde nauczycielstwa pole, na którym już niejedno ziarno dobre padło, należy bez zaprzeczenia p. Floryan Łagowski.

Urodził się w r. 1843-im d. 4 Maja w Proszowskim, gimnazyalne nauki kończył w Kielcach, w Szkole Głównej przebył dwa kursa, a dwa już w Uniwersytecie, gdzie zostawał na wydziale filozoficzno-histerycznym. W r. 1870 skończył Wszechnicę warszawską ze stopniem kandydata nauk filozoficzno - historycznych, a w rok potem rozpoczął już zawód nauczycielski, któremu wiernym do dnia dzisiejszego zostaje.

Pedagogja stała się ulubionym przedmiotem

pana Floryana. Będąc na trzecim kursie pisywał artykuły treści pedagogicznej, które drukował w „Gazecie Kieleckiej“ a jakkolwiek przy swojej wiedzy rozległej i zdolnościach pisarskich, mógłby szczerzą na polu innem próbować, Łagowskiego coś ciągnęło do tej działy mundurkowej, która z wesołym uśmiechem, z tornistrem na plecach przybiega do drzwi gimnazyalnych; której się śmieje życie, tak rzadko uśmiech na twarzy mające. Od 1872—75 Ł. zostaje przełożonym szkoły IV klasowej prywatnej w Koninie, potem nauczycielem języka polskiego i historii literatury w szkołach prywatnych w Warszawie, od roku zaś 1884 przełożonym szkoły klasycznej IV-ro klasowej, a obecnie VI-cio klasowej realnej.

Obok zajęć nauczycielskich, nie zapomniał Ł. o piórze. Pisywał ciągle i dużo, szczególnie artykuły treści pedagogicznej, zasilając pracami swojemi: „Tygodnik Ilustrowany“, „Bluszcz“, „Kłosy“, „Niwę“ dawniejszą, „Ateneum“, „Bibliotekę Warszawską“ i „Kuryery“. Krom tego, przez lat pięć prowadził redakcję „Przeglądu Pedagogicznego“ i został współpracownikiem „Encyklopedyi Wychowawczej“.

O pracach literackich Łagowskiego, napisanych zawsze sumiennie i ze znajomością przedmiotu, nie będziemy tu szczegółowo rozpisywać się—wspomniemy tylko o ważniejszych: W roku 1880 zamieścił w „Niwie“ godny uwagi artykuł „O egzaminach“, o Jachowiczu, pisał w „Przeglądzie Pedagogicznym“ i „Bibliotece Warszawskiej“; o Bohomoleu w „Encyklopedyi Wychowawczej“, o Konarskim w „Przeglądzie Pedagogicznym“ i oddzielnie wydanej książce p. t.: „Collegium Nobilium.“ Widzimy też jego pracę w wychodzące zbiorowo dzieło „Historia Literatury Powszechnej“ (Bibliot. Naj. Ut.) i rozprawę „O znakach pisarskich“ wydanej osobno, a nagrodzonej przez Kasę Mianowskiego. Obecnie drukuje w „Przeglądzie Pedagogicznym“

pracę z dziedziny *Metodyki Języka Polskiego*. Nazwisko Łagowskiego nie jest obce i literaturze zagranicznej. Prace jego o Konarskim znajdujemy zacytowane w „*Dictionaire Pedagogique*,” Buissona, „*Collegium Nobilium*” zaś w czeskim czasopiśmie pedagogicznym w streszczeniu.

Wspominając choć po krótko o zasługach p. Łagowskiego, chcieliśmy dać tem wyraz, że i my żywy udział bierzemy w jubileuszowym roku jego nauczycielstwa, życząc szanownemu jubilatowi setnych lat, bo liść dębowy zasług obywatelskich na swoje już czoło położył.

„Głucho wszędzie, ciemno wszędzie,” mówił guślarz w „*Dziadach*” Mickiewiczowskich, ja zaś patrząc przez okno swojego pokoju na ulicę warszawską, mimowoli trawestuję słowo wieszczki i powtarzam: „chmurno wszędzie, błoto wszędzie!”

Już to rok obecny, dobiegający do końca swojego żywota, niewiele zasług za sobą pociągnie: dał w skórę Hiszpanii, chłodził nas w miesiącach letnich, płakał deszczem nieustannym, teraz mrozi, raz pierwszy zapominając o tradycji złotej, polskiej jesieni. Nie miały czasu liście na drzewach złotem się okryć, ubrać się w szaty z purpury, jak mroź je zwarzył przedwczesznie, pokrywając lodem i śniegiem. Dochodzące do nas głosy ze wsi są bardzo smutne: kartofle niewykopane, opóźnione posiewy, niedobry horoskop na przyszłość stawiają; podnosi się cena produktów, węgiel już podskoczył z powodu przedwczesnego zima. Biedacy kulą się i z trwogą w przyszłość patrzą, a pisma nasze nawołują ogół do ofiarności, dla ochronienia tych biedaków od zimna i głodu.

Lato jesiennym wiało chłodem, jesień przywłaszcza sobie prawa zimy. Najstarsi ludzie nie pamiętają w Październiku śniegu, a jeżeli zdarzył się kiedy podobny wybryk natury, to iście był figiem tylko. Po paru godzinach śnieg tajał, błyskało jasne oko słońca, ciepło wracało, a po rozjaśnionym błękitnie ulatywały lekkie, srebrne nicie babiego lata. Jesieni tej nie widzieliśmy tych nitek, deszcz i śnieg przytłoczył je do ziemi i nie pozwolił wzbić się w górę, a jak mi pewien stary włościanin powiedział: Najświętsza Paniienka zagniewała się na ludzi, nie siadła do kądzieli, z której przedziwo wysnute na świat rzuciła.

Zagniewała się!... a czy nie było może za co się gniewać.... Królestwo boże oddała się coraz bardziej, ludzie nie tak żyją jak jej święty, jedynek przykazał, na świecie się warzy jakiś ferment przewrotu, który błady, tajemniczą twarzą swoją trwoży państwa i narody. Na dobitkę wszystkich nieszczęść, trwóg i niepewności, przez nieoględność dozorców laboratorium wiekańskiego doczekamy się dżumy jeszcze, inaczej „morowej zarazy,” inaczej „powietrza,” jak to u nas w dawnych czasach nazywano. Dzienniki już nam doniosły o śmierci dra Müllera, który w Indyach badał tę straszną chorobę, doglądał chorych, zbierał bakcylusy i na to powrócił do stolicy, by po latach paru z tejże dżumy umrzeć. Zginął jak żołnierz na stanowisku a z żołnierską krwią zimną zginął. Pilnując chorego zaraził się, postawił sam dyagnozę, naznaczył sobie pięć dni życia, przyjął Sakramenta i do wieczności się przeniósł. Ale bakcylus morowy już cztery pochłoniął ofiary — w Wiedniu trwoga, bo wiadomo w jaki sposób zarazek dostał się do ludzi z pracowni lekarskiej i czy zginie, nie rozprzestrzeniając się dalej, czy będzie prowadził dalej swoje straszne dzieło zniszczenia, wmagając się, rosnąc i trwożąc widmem klęski okrutnej.

Morowa zaraza była nieszczęściem w wiekach średnich; przychodziła ze wschodu, rozszerzała się po całej Europie, nie dziesiątkując lecz przepoławiając ludność, a nawet więcej, bo zabierała od 60—90%. W „*Dziejach*” naszego Długosza są ponure opisy jej panowania za granicą w Polsce. Srożyła się za czasów Kazimierza Wielkiego, doprowadzając ludność do obłędu. Zapewne, że przy dzisiejszych warunkach i środkach higienicznych, przy umiejętnej czujności lekarskiej możemy być spokojniejsi; to też lekarze wiedeńscy zapewniają nas, że niebezpieczeństwa

nie ma, i że zło w zarodku samym zduśnić potrafią. Zawsze jest karygodną nieoględność dozorców laboratorium.

W jednym z ostatnich numerów „*Biesiada Literacka*” zamieściła reprodukcję fotograficzną dwóch grobów na cmentarzu w Łomży: Feliksa Bernatowicza, autora tak czytanej dawniej „*Pojaty*” i znakomitego przyrodnika Jakóba Wagi. Na grobach nie było pomników, bo my wielkim swoim niezbyt chętnie pomniki stawiamy, leżały tylko dwie płyty kamienne, a i one rozsypywały się i były blizkie ruiny. Od zagłady ochroniła je ręka nieznaney osoby, kobiety, która „własnym staraniem i kosztem, bez niczyjej pomocy, po prostu — z dobrego serca, uratowała od ruiny dwie mogiły, literata i uczonego, na cmentarzu łomżyńskim.”

Pytamy: czy nie ma już grobów, któreby podobnej dłoni potrzebowały? Znika i zniknie zupełnie miejsce ich wiecznego spoczynku, a nas zdziwienie ogarnie, w jaki sposób to stać się mogło. Potężne imię w dziejach literatury naszej, bądź co bądź, zajmuje Henryk Rzewuski. Śmiertelne szczątki jego spoczywają w Cudnowie w gub. Wołyńskiej, lecz żaden kamień grobowy nie wskazuje nam miejsca gdzie leży autor „*Listopada*” i nikt nam dziś wskazać nie potrafi mogiły jego. Wiadomość o grobach Bernatowicza i Wagi, o niewiadomej mogile Rzewuskiego, przywodzi znowu na myśl konieczność instytucji, któraby czuwała nad zachowaniem pamiątek podobnych.

Za dni parę tłumy podążą na cmentarz Powązkowski, zapłoną lampki nad mogiłami, miejsce umarłych oświeci luna od świateł jarzących. Setki kolan, koło setki grobów sięgnie ognie, pierwszą niejedną ból ściśnie, jedni za umarłymi, drudzy do umarłych zatęsknią, bo czasem życie tak męczy, że się tej ciszy cmentarnej zapragnie. Zapalając światła, kładąc wieńce na grobach, pomyślny i o tych grobach zapomnianych, w których spoczęli ci, co większą część życia społeczeństwu swemu oddali, którzy żyją i długo żyć będą w pamięci naszej, bo karmią nas pięknymi słowami, znaczącością myśli, bogactwem rozumu, lecz w sposób niezrozumiany dla nas. Z tą pamięcią połączyło się zapomnienie o ich miejscu wiecznego spoczynku. Może znajdują się ludzie, którzy sprawę założenia wyż wspomnianej instytucji wezmą w ręce silne i do pożądanego doprowadzą końca.

??

Regina Żółkiewska

hetmanowa w. koronna.

SYLWETKA HISTORYCZNA.

(Dalszy ciąg.)

Przykry to jest widok patrzeć na osiwiałego w bojach starca, który lata swe liczy na obozy, jak zmuszony jest usprawiedliwiać się od tak niesłusznych zarzutów. Nic też dziwnego, że w listach Żółkiewskiego z tych lat przebijają się nieznaną przedtem gorę i cierpkość, podczas gdy dotąd odznaczały się one dziwną słodyczą, do tego stopnia, że nawet o wrogu mówił zawsze z łagodną wyrozumiałością.

Ale można sobie wyobrazić, jak boleśnie te zajścia musiały się odbić w sercu żony, tak wierne dzielącej wszystkie troski męża, jak hetmanowa. Ona jedna też mogła znaleźć balsam dla zranionej duszy starego wodza, który usunął się w domowe zacisze, aby już naprawdę wypocząć po długich trudach wojennych i po doznanych niesprawiedliwościach ludzkich. Należało mu się to słusznie, miał obecnie lat siedemdziesiąt. Żona o kilkanaście lat młodsza od niego, wiernym przywiązaniem umiała mu troski; alisci po paru latach wypoczynku nadszedł rozkaz królew-

ski, aby ruszać przeciwko Turkom, w celu posilkowania hospodara multańskiego.

Już oddawna Gracyan knuł swoje przebiegłe plany polityczne, aż wreszcie udało mu się przekonać łatwowiernego Zygmunta, który postanowił dać mu pomoc, zwłaszcza że i szlachta przagnęła zerwania traktatu Buszeńskiego.

Stary lew nie wahał się ani chwili po otrzymaniu rozkazu królewskiego; on, rycerz chrześcijański, przagnął jak najgoręcej poledz za wiarę, ale też wyruszał w tem przekonaniu, że to będzie bój ostatni dla niego.

Zwłaszcza po niedawnych oszczerstwach i napaściach, jakich stał się ofiarą, przagnął przekonać owych niesfornych rodaków, że potrafi jeszcze umrzeć po rycersku, tak samo jak żył. To też zabrał się energicznie do przygotowań wojennych, a zamek żółkiewski w połowie lata 1620, pełen był gwaru i ruchu; żona krzątała się również pilnie, aby zaopatrzyć jegomości we wszelkie przybory obozowe i rozpisywała listy, wzywające do zbrojenia się. W liście do Tomasza Zamojskiego, pełnym mężkiej stanowczości i odwagi, przypomina bratankowi zacnych przodków jego, których winien naśladować. Ona wiedziała dobrze, na jak niebezpieczną wyprawę mąż idzie, a jednak serce w niej nie upadło ani na chwilę i nie wahała się poświęcić jedynego syna, aby towarzyszył ojcu.

A któż więcej wyruszył ze starym hetmanem i kanclerzem koronnym?

Wstyd powiedzieć, — tylko sami prawie krewni i domownicy, ani jeden zaś z tych krzykaczy, co go na sejmie szkalowali; — ci wszyscy woleli zostać w domu.

Smutne przeczucia towarzyszyły owemu wyruszeniu w pochód. Jednej nocy, niedługo przed wyjazdem, na niebie ukazała się nadzwyczajna jasność; wszyscy domowi mniemali widzieć w obłokach jakieś potykające się wojska, i pobiegli zaraz zbudzić hetmana. „Na moją to głowę!” — rzekł sędziwy wódz, spojrzawszy na niebo. Wówczas przypomniał sobie starą wróżkę, która mu w młodych latach przepowiedziała wszystkie pomyslności przyszłe i śmierć chwalebna za wiarę. To też poczynił wszelkie przygotowania, wydał rozporządzenia majątkowe, o czem tak mówi w testamentie do żony: „Domowe rzeczy o sprzętach i dochodach tobie lepiej niżli mnie są wiadome, bom swe myśli w sprawach rzeczypospolitej utopił, swoich zapomniawszy.”

Przed samem jeszcze wyruszeniem napisał do króla list, pełen także złych przeczuć, poczem nastąpiło żalosne pożegnanie z rodziną i domownikami. Wszyscy patrzyli na tę sędziwą i piękną jeszcze głowę tak, jakby już widzieli nad nią aureolę męczeńską. Hetman wyruszył w towarzystwie syna i synowca, Łukasza Żółkiewskiego, oraz siostrzeńca Aleksandra Bałabana; szły za nim jego nadworne pułki, oraz rotty Daniłowiczów, Zamojskich i Koniecpolskich; połączyć się mieli pod Barem z wojskami królewskimi, szlachtą zebraną pod chorągiewami Lisowczyków?! oraz chorągiewami niektórych panów.

W zamku żółkiewskim zapanowały smutne pustki i cisza jak w klasztorze, tem bardziej ponura, im większy gwar panował tu przedtem. Hetmanowa przywdziała strój zakonny, wedle zwyczaju kobiet, których małżonkowie bawili na wojnie, i odprawiała gorące modły o życie męża i syna.

W Olesku modliły się tak samo córka Zofia Daniłowiczowa i wnuczka Teofila; sam wojewoda Daniłowicz, zarówno jak i Tomasz Zamojski, nie towarzyszyli osobiście hetmanowi, tylko posłali swe rotty. Z biciem serca oczekiwano w obu zamkach wieści od wojska. Z początku nie brakło ich bynajmniej, tak ustnych jak i listownych, a jedną z pierwszych była wiadomość o zdradzie Wołochów, którzy zamiast posilkować hetmana, poukrywali się po lasach. Wojska polskie stały więc same w obec nadciągających licznych sił tureckich pod wodzą wezyra Skinder baszy. Od owej wieści przez dwa tygodnie trwała głucha cisza; żadnej wieści o wojsku i o hetmanie. Aż wreszcie we Wrze-

śniu goniec z obozu przyniósł dwa listy: jeden od hetmana do króla, drugi od pewnego nieznanego szlachcica do przyjaciela. W liście do króla hetman donosi o przybyciu Skinder-baszy oraz Tatarów pod wodzą sultana Gałgi, wszystkie razem ich siły licząc na 100.000. Mówi zarazem o szczęśliwie stoczonej bitwie, oraz o sromotnej nocnej ucieczce rycerstwa z obozu. W przypisku znajdowała się wiadomość, że syn, synowiec i siostrzeniec zostali ranni w bitwie.

List szlachcica donosił toż samo, to jest o ucieczce Gracyana i niektórych znaczniejszych rycerzy, o poległych rotmistrzach i o tem, że pan starosta hrubieszowski (Jan Żółkiewski) poranny i postrzelany. Ale przypisek cyfrowany brzmiał bardzo groźnie; oto co się w nim znajdowało: „Mój dobrodzieju, źle koło nas, źle. Turcy i Tatarzy zewsząd oblegli, śmierć, zgubę widzimy! Szańce, kosze tuż porobili, z dział kule w namioty kanclerskie lecą, wał mały, przeskończy go; prochów nie staje, konie drudzy jedzą. Za lada Gałła! Gałła! w nogi od wałów. Rady ludzkie ustały, w Bogu tylko nadzieja. Już podobno waszmości, mój dobrodzieju, nigdy nie obaczę. Proś za duszę moją Boga i wszyscy krewni niech proszą. Jeżeli też więźniem zostanę, to proszę o okup, bo śmierć, więzienie przed oczyma; w obojgu proszę o zmiłowanie. Teraz to już głód—woda a mięso, innego nic. Deszcz, zimno, bieda. W tumulcie wszystko poginęło, jużemy poginęli. Pan Bóg niech tam radożem wszystkim błogosławi... Chcą od nas Turcy upominku i iść do Polski. Bądźcie ostrożni, bo nas zniósłszy, będą u was. Z obozu na Ceorze, 25 septembris, 1620.“

(Dokończenie nastąpi).

A gdy z młodością nadchodzi rozłąka...

A gdy z młodością nadchodzi rozłąka,
Gdy z drzewa wiosny opadają kwiaty,
Duch, jak kometa, w bezmiarach się błąka,
Pragnie raz jeszcze rój marzeń skrzydlaty
Potraćić skrzydłem, strzaskanem przedwcześnie,
Ku gwiazdom wznieść się na jawie lub we śnie.

Więc rozgwieżdżoną, cichą, jasną nocą,
Skąpany w blaskach srebrzystych księżycy,
Leci, gdzie nocy pochodnie migocą,
Jak brylantowa leci błyskawica,
Której szlak znaczy złocista orbita,
A nieskończoność swem tchnieniem ją wita.

Ach, z takich wyżyn spojrzawszy na ziemię,
Widzisz, że ona jest, jak czarna truna,
Co—przystrojona w kir—od wieków drzemie
I ożywczego nie pragnie pioruna,
Któryby błysnął płomieniem czerwonym,
Spadł i ostatni raz wstrząsnął jej łonem.

Prometeusza ród wygaś przed wieki,
Iskry wszechbytu nie wydarł Zeusowi,
Więc przed ludzkością świt jeszcze daleki,
A półbogowie nie przychodzą nowi,
Coby na Olimp zwrócili dłoń hardą,
Aby zwyciężyć, albo—zabić wzgardą!

Prometeusze, Herakle, tytany!

Przeszła,—nie wróci już epoka wasza,—
Strzaskał się puchar, po brzegi nalany
Nektarem bogów. Pełna mętów czasza
Spragnionych tłumów dzisiaj nie napoi,
Co u przyszłości cisną się podwoi...

Stim.

PAMIĘTNIKI

Adaminy z Bielskich Moszczeńskiej.

(Dalszy ciąg)

XIV.

Figlarze.

Zdaleka już rozlegał się śmiech na nieprzeznaczonych obszarach Kujawskiego pola, kiedy dwaj jeźdźcy w cwał naprzeciw siebie dopędzali na dzielnych wierzchowcach.

Jeden z nich miał przeszło lat 30, chudy, małej postaci, twarz ściągła, ogorzala, nos orli, wzrok śmiały, mowa szybka, przecinana, zgadzała się z jego ruchami. Nosił czamarkę z surowego płótna, zielonemi szamerowaną potrzebami, czapkę taką płócienną z daszkiem, koszulę na szyi spinką krwawnikową spiętą.

Drugi młody jeszcze, blondyn jasnej twarzy, łagodnej, wesołej fizjonomii; poruszenia jego zręczne i umiarkowane, cechowały zwyczaj przedstawiania w dobrym towarzystwie. Ubrany był w spencer i pantalony nankinowe i czarny kapelusz.

— A co panie Stanisławie,—zawołał pierwszy, gdy się zbliżyli,—nie doskonale się udało?

— Nad wszelkie spodziewanie moje,—odrzekł drugi—ale mnie noga jeszcze boli, jakem się zsunął po tych chwiejących schodach; obciążylesz mnie tym niegodziwym łańcuchem i dla tego chodzę jak spętany.

— Miałem i ja niezgorszy zbiór manatków do dźwigania; przecież takie kuglarstwa bez przyrządzeń obejść się nie mogą, a zostawiać nie wypadało, bo gdyby po bliższym przegłądzie domyślili się materyjalnego istnienia ducha pokutującego, to już po stypie! Chociaż trochę pocierpisz, to się i zabawisz. Alboż to już nie satysfakcja patrzeć, jak te posłańcy nóżkami, wierzchem i pieszo przebiegają w bliższe i dalsze strony?

— Panie Rafale, jak się zastanowię, to przecież żart zbyt daleko posunięty jest. W pierwszej chwili twoja pustota opanowała mnie, ale teraz przyznam się szczerze.... nie chciałbym figurować na scenie. Gdyby się starosta dowiedział, to gotowa awantura!

— No, to ja już sam na siebie biorę, a jak minie wszystko, nie zatrzymam sekretu. On sam naśmiej się z nami.

— Czy podobna, Rafale! Skompromitujesz się w oczach duchowieństwa.

— Co za skrupuły! Starostwo bogaci, bezdzietni, bagatela im wyprawic stypę; a że się pomodlą za duszę dziadka, to nie zgrzeszą. Duchowni, żebraki zyskają, i cóż więc złego się stało?

Rozśmiał się Stanisław:

— Dobrze, przekonałeś mnie; niechże ci służy sława takiego wybryku. Ale ta biedna starościna nie będzie mogła sypiać ze strachu.

— To przestanie tyć tak nieumiarkowanie,—odpowiedział rzutko pan Rafał.

— Wybory z ciebie człowiek! Więc figle twoje dobrodziejstwem stają się dla ludzkości?

— Zapewne! Jeszcze dodam, że się zabawimy w licznej kompanii, gdzie nikt nie będzie płakał, bo już tak dawno po śmierci nieboszczyka, a cie-

szylby on się nadto, gdyby z tego zjazdu wysnuło się jakie ożenienie lub awanturka, kursująca w publiczności. Natenczas tryumf mój byłby doskonały!

— Jakże daleko żywa twoja wyobraźnia uwodzi cię, Rafaleczku! Może jeszcze i na przyszłe pokolenie psota splekana starostwu wpływ swój wywierać będzie?

Niestety, nie przewidział Stanisław, że nie długo wpłynie nie tylko na los życia jego, ale i na dalsze przeznaczenie innych. Tak to częstokroć z drobnych wydarzeń wielkie wynikają skutki; tak drobna pomyłka znaczne przynosi straty, i tak, jeden krok pociąga w przepaść

— A przecież, Stasiu, będziesz na obiedzie, którego pierwszą jesteś chwałębną sprężyną? Trzeba korzystać z owocu swych trudów. Żniwa za pasem, nie będzie zabaw aż na wieńcowiny. Pomodlimy się, zabawimy, przypatrzmy innym, a oni nam. I dodaj, upijemy... a może i pokochamy się... — mówił pan Rafał, patrząc Stanisławowi złośliwie w oczy.

— Trzpiotem jesteś! Chciałbyś miłość pobratnąć z kielichem... Takiej ja nie pojmuję. Przy kielichu jak i z czary mleka miłość odurza i ślepą jest. Ale twoja miłość dobrze upatrzyła. Piękną Basię niezadługo doprowadzisz do ołtarza.

— Ja miłość z góry traktuję. Podoba mi się panna, to nie wzdycham, ale się bawię. Jak się dobrze naśmiejemy, to jej powiem wręcz, że chciałbym z nią pospółu prześmiać całe życie. Skwasi się, to bywaj zdrowa! i śmieję się z inną. Ale przesłuchna Basia moja przyjęła wesoło moje oświadczenie, a nadto stworzoną jest dla mnie: figlarka, gospodarna, nie wytworna i nudna, jak te modnice, co tylko żale rozwodzą po cieniu, a jak się rozigrają, to szczypią i kasaają dowiecipem. Uchowaj mnie Boże od tej plagi!

— Surowym jesteś Rafale! Są wdzięki, których szorstki umysł twój ocenić nie zdoła, a stanowiąby szczęście stałego i czulego młodzieńca.

— Romansów nie czytam, chrzest papieru straszy mię,—wyrzekł Rafał, wzruszył ramiona, kiwnął głową i podał rękę przyjacielowi, a zwracając konia, zawołał:

— Do widzenia!

— Do widzenia! — odpowiedział Stanisław i udał się zamyślony w swoją stronę.

XV.

Tabakierka.

Używając chłodu wieczornego, przechadzali się szambelaństwo po tarasach i rozmawiali jeszcze o widmie.

— Starościna,—mówił szambelan do żony,—jest starszą córką z pierwszego małżeństwa matki mych dzieci. Na pierwszy rzut oka zadziwi cię nadzwyczajną otyłością; jeszcze lat nie ma 30, a już utraciła nie tylko piękność, ale i cały wdzięk młodości; nadto jej głos donośny i piskliwy bardzo jest rażący. Twarz dziwnie miała zajmującą, płeć nader delikatną, a figurę tak smukłą, że rękami objąć było można stan. Włosy blond, gęste i długie, całą jej wyniosłą okrywały postać.

Starosta dwornis, upodobał ją z osoby, a nie uważając na szczupły w miarę dochodów jego posag, ożenił się z szesnastoletnią pięknoscią. Jeszcze nie upłynął rok miodowy dla zakochanego męża, kiedy na ospę rozchorowała się żona i w niej utraciła nadzieję dochowania się potomstwa, o czem ją doktorzy zapewnili. Nadto, wstawszy z niemocy, ujrzała się potwornie zeszepeconą. Mąż, nie ceniąc w niej nic prócz wdzięków, nie szukając nigdy żadnych zalet w kobiecie, okrutnie się widział zdradczonym, tem więcej, że już nie miał zostać ojcem. Zbrzydliwszy sobie niegdyś upragnioną małżonkę, rzucił się w rozpustę, a żona rozjątrzona i swą niedolą i postępowaniem męża, szukała odtąd pociechy w arbitralnem użyciu czasu swego i dochodów, jakie jej z układu domowego służyły. Tak, robiąc majątek na swoją stronę, dogadzając smakowi podniebienia, kosztownych strojów i wszelkim innym chęciom, którym się oddaje dla za-

bicia czasu, zawładnęła domem, z którego mało się wydala i dla tego jest sobie trochę odrębna w całym ułożeniu.

— A to tym sposobem sukcesya spadnie na twoje dzieci?

— Któż to wie? Ta kobieta ma tak żywe namiętności, tak niestałe upodobania, że niemożna się spodziewać, aby sposobem godziwym rozporządziła fortuną.

Właśnie miała szambelanowa zapytanie uczynić mężowi, kiedy upuszczony przedmiot zwraca uwagę obojga; w wieczor jej dobie trudno było dostrzedz większą trochę od rubla złotą tabakierkę.

— A propos—mówi szambelan, oddając zgubę.—niedawno dostrzegłem, Marysiu, że zażywasz ten proszek narkotyczny.

Odkrycie to niebardzo mu było do smaku; sam nie zażywał, ani nie palił tytoniu. Po malej pauzie, prowadzonej widocznym zakłopotaniem, odparła żona:

— Jest to zwyczaj w pierwszej powzięty młodości. Ojczym mój, generał Gróczyński, ofiarował mi na imienniny w upominku tabakierę brylantami wysadzaną, z swoją miniaturą. Miałam wtedy dopiero lat 9. Otrzymaawszy tak piękny dar, zapragnęłam uczynić z niego użytek i uprosiłam któregoś z dworskich, że mi się wystarał o tabakę. Odtąd lubiłam się popisywać tabakierą i zdolnością trudno nabytą zażywania z niej. Matka się gniewała, chciała mi zabrać tabakierkę, jam płakała, a ojczym, będąc powodem tej psoty, wdał się pomiędzy nas; byłam jego faworytką, utrzymałam się więc przy tabakierce. Gości bawiła moja dziecinna powaga, i gust zażywania; wszyscy się nakoniec przyzwyczaili do tego widoku, a nawyknienie mi pozostało. Staralam się później trzymać je w karchach umiarkowania, i dla tego nietyle raziło.

— Ależ to osobliwszy był dar dla dziecka i szczególna obojętność matki!

— Ta obojętność niejedna i nie najważniejsza była. Ojciec mój był generałem; umierając, zostawił bardzo znaczną fortunę i mnie jedynaczkę, dziecięciem jeszcze... Matka niezadługo zmieniła stan i imię, nie zmieniawszy tytułu, o co jej głównie chodziło. Tak się przyzwyczaiłam słyszeć powtarzaną rangę mego ojca i ojczyma, że w dziecinnej mej głowie uprzedła się myśl, jakoby niemożna już być inaczej, tylko generałową. Ojczym mój, marnotrawny i próżny, lubił otaczać się przepychem wojskowym, a całe jego usłużenie przybrane w mundury, podzielone było na rangi i pełniło służbę za komendą. Zdawało mi się, że na inny sposób niemożna być dogodniej i milej usłużoną. Oddano mnie na pensję Urszulanek w Wrocławiu szlązkim, gdzie przebywałam do lat 13. Rozmnożyło się tymczasem rodzeństwo w domu; za powrotem miałam 2 siostry i 3 braciszków; cieszyłam się z tak licznej rodziny i bawiło mnie, że najstarsza między nami, miałam rodzaj pierwszeństwa.

— Ale czego młodość moja przewidzieć nie dozwalała, co było nawet tajemnicą dla świata, to, że spuścizna ojcowska rozpieczętała się; jej resztami trzeba było teraz wychować liczną rodzinę, dogadzać fantazyom ojczyma, nie łatwym do zaspokojenia. Uprzedzony o godności swej wojskowej, nie raczył zostać, jak mówił, gburą, i dla tego nie zajmował go rząd gospodarski. Polować, i to sieciami jedwabnymi, na kuropatwy, w ogrodzie na sidła przed oknami gabinetu zastawianymi, łapać ptaszki machineryą w pokoju urządzone, łowić rybki w kanale ogrodowym, grać zwykłą grę, skupować osobliwości i kosztowne przedmioty, zjadać konfitury z mrówek, ślimaki i żabki przez francuzkich sporządzane kucharzy, celować piękniemi końmi i wspaniałemi pojazdami, wyprawiać uczyty i mieć pierwszeństwo wszędzie, — takie były skromne upodobania kochanego ojczymka... Już nawet myślał o urządzeniu teatru pałacowego, cieszyłam się na tę nowinę; ojczym pochlebiał mi, było to jedyne wynagrodzenie krzywd, jakich nie znałam.

— Nawinał się młodzieniec znakomitego rodu, bogatego domu; powrócił z Paryża, gdzie nadewszystko ulubionej natenczas oddawał się

nauce alchemii. Wiedziano pomiędzy starszymi, że przebrał miarę nauk; pozory jego były skromne i obojętne, postać nie odrażająca. Ja byłam dzieckiem, nigdy nie rozmawialiśmy — i to nie zdawało mi się być potrzebnem — o czemże wreszcie bylibyśmy mówili? Otrzymałam cukry i marcepany, perły i klejnoty, byłam szczęśliwą! Rodzice pomiędzy sobą ułożyli związek nasz... ślubowałam, ciesząc się, że będę panią, jak moja matka, nie posiadając się z radości na widok świetnej wyprawy, którą mnie obdarzono. Żałowałam tylko, że mąż mój nie jest generałem.

— Tak więc, wyszedłszy w roku 13 życia mego z pod władzy rodzicielskiej w dom męża, zajętego alchemikami, retortami i smrodliwym przyrządem do robienia złota, oddzielonego ode mnie całą przestrzenią domu, mieszkając w okolicy mało mi znanej, bo wkrótce po zamężciu przenieśliśmy się z ponad granicy szląskiej w sieradzkie, do dóbr nad rzeką Nurem położonych, żałowałam tylko ubiegłych pierwszych chwil mej samowładności, które upłynęły w Trzebielu, miasteczku, oddanem mężowi w tymczasową posiadłość. Tam mieszkańcy pół Niemcy, zajęci młodą swą panią, urządzali dla mnie rozmaite niespodzianki i bawili jak dziecko.

— A kiedy urodził się syn mój, to już była taka radość, że obmyślili dla niego kołyskę, do której znana w niemieckiej literaturze poetka Karselein, będąc owczarką w mych dobrach zamieszkała, długi niemiecki wiersz zastosowała, ofiarując mi wydrukowany na szerokiej wstędze atlasowej, którą dotąd chowam. Ale synek jedyny z tego dniowego małżeństwa, umarł w kilka miesięcy. Ta sama Karselein wprzódy przesłała była hold swój poetyczny Fryderykowi II królowi pruskiemu i on jej za to dał cztery talarzy, które natychmiast zwróciła z trafnym czworowierzem, na co król odpowiedział darem kamienicy w Berlinie i skromną pensją dożywotnią.

— Nie wiedząc więc jak rozporządzić czasem czytałam bardzo wiele, ale że natenczas pasterskie tylko pisano poezye lub powieści czarodziejskie, na jakie nawet zakrawały perskie romanse, każda zaś pasterka mówiła i stroiła się jak księżniczka, owce nawet były jak śnieg białe, złożone miały rogi, kwiatami je wieńczono i wiedziono na wstęgach barw symbolicznych, więc ja też przepędzałam poranek nad książką, a potem umytego, uperfumowanego barana uwieczniony, pozłociwszy rogi, uwiązane na wstędze, prowadziłam na łąki ponad Nerem ciągnące się daleko. Sama zaś ubrana codzien w inną suknię z bogatej mej wyprawy, przystrojałam głowę ogromnym pasterskim kapeluszem, a wzięwszy laskę w rękę, stałam się żywą sielanką podług przepisu francuzkiego pani Deshoulières. Ale do żadnego nie wdychałam pasterza, a mężczyzka uważałam raczej jako czarnoksiężnika, co opanowawszy młodość moją, więzi w zaczarowanym zamczysku.

XVI.

Poddębicki dwór.

— Jakże się nowe dla mnie rozwinęło życie, kiedy około roku 1765 księżna Sanguszkowa przybyła do dóbr swych Poddębic w sieradzkim, na letnie mieszkanie z całym swoim dworem, z dwiema swemi wnuczkami pannami Biełlińskimi,

— Aby zachęcić do swej letniej rezydencji okoliczną szlachtę, poddawała wizyty w sąsiedztwie. Młodość moja zainteresowała ją; może też i wiedziała, jak smutne wiodę życie, dosyć, że przy pierwszej rewizycie uprosiła męża mego, abym czas jej pobytu wiejskiego przepędziła w Poddębicy, i przybrała mnie do swego koła familijnego. Była to bardzo szczęśliwa epoka młodości mojej; tam to właśnie pomiędzy wielu godnymi osobami poznałam i Piotra Biełlińskiego, co go wspominasz z takim uwielbieniem, mój mężu. Był jeszcze bardzo młodym, zawsze odznaczał się uprzejmością i wyższymi

zdolnościami, a księżna pani już wtenczas dobrze o nim rokowała.

— Jakiż był skład dworu księżnej? Nie sądzę, aby miał być bardzo liczny, magnaci utrzymywali wprawdzie wielu dworzan, aby z nich że samych i ich krewnych tworzyć sobie partye dla przewodzenia w sprawach publicznych, ale dama?

Miała i ona dwór dość znaczny; kapelan, marszałek, koniuszy, łowczy, kilku zawsze kawalerów i cztery panny dworskie czyli rezydentki, składały jej otoczenie, oprócz licznego usłużenia pałacowego, bo tam wszystko bardzo działało się wspaniale. Dwie panny asystowały zwykle księżnej pani przy gotowaniu, chociaż jej ubiór był bardzo skromny i jednostajny.

— Fryzjer zaczesał na tył głowy wszystkie włosy rzadkie i siwe, upłócił z nich kosę i przypiął grzebieniem; służebna panna przyniosła czepek koronkowy biały lub czarny, zawsze świeżo odprasowany, ale skromnej formy; natenczas jedna z bawialnych panien podała aksamitkę czarną około cała szeroką, na niej przytwierdzony był szereg sztuk brylantowych w srebrne oprawnych i zawiązała na tyle głowy, opasawszy czepek nad czołem, — służebna znów podała i opięła suknię bławatną, zawsze ciemną lub czarną, w chłodne dni kontusik niezbyt jaskrawego koloru, sobolem lub gronostajami podszyty, a w upały letnie pólsalopie blondynowe albo i z koronek; rezydentka założyła i spięła złotym zameczkiem i około szyi inną czarną aksamitkę, na której zawieszony był misternej roboty krzyż z wizerunkiem brylantowym. Toż znów te damy podawały w kolei pierścienie, tabakierę, chustkę do kieszeni, balsamiczkę, bombonierkę, a nareszcie pończoszkę na prątkach, którą to księżna pani zawsze sama dla szpitali swych dóbr robiła.

— Aby dać przykład gospodarności pannom swoim, a może i okolicy, zaczęłam wysłać na pokoje, kazała zapasać sobie fartuszek, wzięła rękawiczki z obstrzyżonymi palcami i udała się do apteczki; w jej obecności kucharz wszystko wybierał, a która z rezydentek pomagała wydawać. Tam urządzano przekąski i napoje do śniadania. Zdarzało się, że księżna pani z swemi pannami, krewnymi i ze mną schodziła do kuchni, sklepów i spiżarni, zwiedzała rozmaite schowania i ogrody. Kazała czasem w obecności swojej łowić ryby, dzielić je to na potrzebę dworską, to na podarki sąsiedzkie, a przy wielkim polowie rozkazała wywieść na sprzedaż, co drobnego rozdać biednym, resztę wrzucić na zarybek, nie zapomniawszy klasztorów, które z każdego produktu udział odbierały. Codziennie rano słuchała mszy świętej w dworskiej kaplicy, a wieczór modliła się w otoczeniu bawiających rezydentek i służebnych panien na klęczniku przed ołtarzem N. Panny, dla której gorzała lampa zawieszona u sufitu.

— W jakimże sposobie odbywały się zjady?—zapytał szambelan.

— Księżna raz tylko oddawała wizyty na wstępie; już potem nabyła prawa zapraszania do siebie, ilekroć jej się podobało widzieć sąsiedztwo; ale komu uczyniła ten zaszczyt, to już na równi z innymi był przyjmowany. Nie znano tam żadnego pierwszeństwa, oprócz tego, które wiek nadaje; uprzejmości równej dla wszystkich uczyła wnuczki swoje i polecała ona rezydentkom, dla tego też każdy goszczący mile i swobodnie czas u niej przepędzał, a jeżeli nas młodych pusta myśl napadła, jeżeli śmieszność zbyt uderzająca pociągnęła za sobą złośliwą uwagę, to trzeba było być bardzo ostrożną, aby nie rozgłosić krzywdzącego zdania.

— Zajmowała się szczerze losem wziętych pod swoją opiekę, żeniła kawalerów dworskich i urzędników swoich z pannami; dopomagała w rozmaity sposób ich postanowieniu, a wiele domów sieradzkich bardzo godnych i poważanych powstało z jej poręki. Gdy przeniosła się do stolicy na zimę, na pożegnanie zwykle była gala u jej dworu. Przy takiej sposobności i księżna pani wystąpiła w bogatym litym stroju, aby uczcić gości i sąsiedztwo swoje. Ostatnią razą bawiła z nami księżniczka Sapieżanka, wcale nie

ładna ale dobra, rozsądna i miła; czarowała śpiewem tak dźwięcznym, tak rzewnym, przenikała czuciem wszystkich słuchających, że jej zapamięć niepodobna było. Księżna bardzo lubiła śpiewy; kiedy zjechała się młodzież okoliczna, to częstokroć dla jej zabawy, bez towarzyszenia instrumentu, zasiadły panny w kole, kawalero wie stanęli za krzesłami; głosy bywały dobrane, i śpiewali tym sposobem najpiękniejsze arye. Była to zabawka niewinna, przyjęta w kołach społeczeństwa prowincjonalnego, aż do czasu, kiedy emigracja francuzka, ułatwiając nabywanie wyższych talentów, wprowadziła uczone śpiewy przy dźwięku gitary lub fortepianu.

— Przy wesołej uczcie nigdy w jej obecności nie nadużywano napojów, chociaż zwyyczaj ten był upowszechniony; uszanowanie dostojnej gospodyni powstrzymywało najdzielniejszych ofiarników Bachusa, chętnie poddawali się temu przymusowi, bo dworskie tu wiało powietrze, któremu przodkowie nasi mocno sprzyjali, wiązały ich nadto wysokie cnoty podeszłej patryarchini tego województwa.

— Z żalem księżną żegnano; nie ukrywano rozrzewnienia; a ja nadewszystko nigdy suchem okiem z nią nie rozstawałam się! Z powrotem do samotni mojej zachodziło słońce mojego istnienia.

(Dalszy ciąg nastąpi).

TEATR.

Taborycy, dramat w 5-ciu aktach, przez Stanisława Kozłowskiego.

Jakkolwiek autor powyższego dramatu rzecz swoją osnuł na tle historycznym, z historią się jednak nie pobratał, główne wypadki krwawych wojen husyckich zostawił na uboczu i znanych w dziejach postaci nie wyprowadził na widownię. Panu Kozłowskiemu chodziło głównie o stworzenie dzieła sztuki do czego wystarczał romans, pogmatwanie sytuacji, charakterystyka osób, zakończenie zresztą krwawe dramatu w oświetleniu łun pożarowych, mordów i gwałtów, które były chlebem powszednim ludzi ówczesnych. Wypadki, które przesunęły się przed nami, mogły się tak dobrze dzieć za czasów Albigenów czy Hugonotów, rewolucji francuzkiej czy każdej innej rewolucji w ogóle, gdy widok krwi pozbawia ludzi uczuć ludzkich, gdy to co jest zakazanem w chwilach normalnych życia świata, tu staje się koniecznością, prawem niemal. W „Taborytach” więc nie szukamy historii, ale że autorowi spodobało się fabułę dramatu w owe czasy przenieść, charakterystyka epoki musi być dobrze odmalowana, średniowieczna myszka zwyczajów i obyczajów powiać ku nam właściwą wonią swoją. Pod tym względem autor z zadania wywiązał się bardzo dobrze.

Każdy pisarz ma swobodę wyboru tematu do prac swoich. Jeżeli byśmy zamiast „Taborytów” woleli, np. „związek jaszczurczy” to dla tego jedynie, że miłsza jest nam swojskość niż cudzoziemczyzna, bliższe i droższe są naszemu sercu własne nasze dzieje, niż nawet Czechów pobratymczych.

Najmniej uprawnem u nas polem, jest właśnie pole dramatu. Jeżeli się więc pojawi u nas pisarz utalentowany, wolelibyśmy, by zazierał do skarbcza narodowego i z tamąd szlachetne wydobywał kruszce. Ale, jak rzekliśmy, nie zaprzeczamy nikomu prawa wyboru tematu, małą tu tylko robimy uwagę. Jeżeli pisarz sięga po przedmiot do dziejów obcych, niechże więc choć mały odłam da nam tych dziejów i zapozna z historycznymi postaciami i wypadkami, które zaciążyły na szali świata; jeżeli zamiast tego daje nam romans zmyślony, tylko romans, obojętni są dla nas taborycy czy nie taborycy, obojętna epoka, w której wyspiewany został duet miło-

śny. Rozumiemy, że wiele a wiele rzeczy mogło autora kępować w przedstawieniu naszych... postaci; w tym wypadku jednak, snując obraz na tle z obcych dziejów wziętem—gdy nie go nie obchodziły same dzieje danej epoki—powinien jakąś myśl rzucić pozostającą na czas dłuższy w sercach naszych, coś w duszach naszych rozbudzić, bo to jest zadaniem poety, tembardziej poety-dramaturga. Gdy i tego nie zrobił, jaki miał cel pisząc „Taborytów?”

Sztuka dla sztuki. Rozumiemy to dobrze. Lecz w takim razie miłszą by dla nas była epoka wojen tatarskich, choć i domowych, krwawych zatargów nie brakło, takich rokoszów Zembrzydowskiego, takich bitw pod Grotnikami, gdzie runęło u nas husycko-czeskie stronnictwo.

Sądźmy, że autor nam za złe tych słów nie weźmie! Nie jest to zarzut—jako zwrócenie uwagi na przedmioty bliższe sercu naszemu, a ceniąc talent p. Kozłowskiego, mówimy tem śmiejąc.

Przychodzimy teraz do, o ile można, szczegółowego rozbioru dramatu

Jak zaznaczyliśmy powyżej, główna osnowa dramatu jest romans. Pułki Taborytów, pod wodzą Milicza znajdują się u bram Labohradu, w których się zamknęła księżna Renata z synową swoją Bertą Mitrowiczową. Rycerska załoga księżnej broni wytrwale murów twierdzy przed nawałą nieprzyjacielską, lecz mimo wysiłków, grodu zdobyć nie może i gęstym trupem uściela walk pole. Tym bezowocnym szturmom sprzeciwia się Radowan, jeden z wybitniejszych taborytów; w ostrych słowach wyrzuca wodzowi marnowanie czasu pod Labohradem, gdy Tabor, twierdza, niegdyś przez Żyżkę zbudowana. (zkaż nazwa „taborytów” poszła), ginie obleżona przez Prażan. Ale Milicz przysięgnął prochom Żyżki że zburzy gniazdo Mitrowiczów; Żywi on zemstę do ks. Renaty, że stryjka Żyżkę zamorzyła głodem, choć do tych okrucieństw dał sam Żyżka powód, pałac na stosie Ernesta, ukochanego syna księżnej a męża Berty. W obozie znajduje się Lumir, syn Milicza. Okrutny wódz taborytów kocha to dziecię i podczas walk powierza opiekę nad nim Wyhoniowi, bo Lumir, uniesiony furją młodzieńczą, nieraz w najgorętszy ogień się rzucał, gdzie śmierć największe plony zbierała. Wie coś o tem jednak więcej Antoszka, rozkochana w Lumirze;—nie wiemy jakim sposobem, ale wie, że Lumir pała ogniem miłosnym do Berty, a nie mogąc jej posiadać, walczy z rozpaczą, szukając śmierci bohaterskiej. To też i teraz, gdy się ma odbyć wycieczka Taborytów przeciw Lubogrodzianom, Lumir prosi ojca o pozwolenie uczestnictwa w tej wyprawie. Wyprawa się udala, moc jeńców wzięto, ale syn Milicza nie wrócił. Walczył przy samej baszcie Labohradu, w tem nagle otwarła się brama, za którą znikł jeńiec dobrowolny. Wieść o uwięzieniu syna przeraża Milicza; wiedział, że u Mitrowiczów nie znajdzie litości, gnany jednak szałem rozpacz, udaje się na dwór książęcy z prośbą o zmiłowanie.

Jesteśmy tedy na zamku w Labohradzie.

Od razu nas owiewa atmosfera średniowiecznego romantyzmu, otacza świat inny, powierzchownie przynajmniej, bo głębie dusz tych ludzi ze ster wyższych nieczem się nie odróżniają od niepolerowanych taborytów. Zdziczełi w walkach nieustannych, tak samo krew z żył bratnich toczą, tak samo mordują, niszczą i pałają. Ale zewnętrzna ogłada, ów towarzyski polor wyróżnia ich od dzieci gminu. Za murami Labohradu dokonywają się gwałty i mordy, ale w pokojach książęcych brzmi pieśń trubadurów, uprawiają się miłostki, damy przypinają szarfy do piersi rycerskich. Kochano się, sztucznie wprowadzcie, z musu, lecz miłość była modą a wstyd rycerza okrywał, jeżeli nie miał damy swojego serca, dla której był gotów na awantury wszelkie. Takim był i Kleofas, „trubadur ostatni” jak sam siebie nazywał, wybraniec Celiny, damy dworu księżnej i Berty pieśniarz ulubiony, porwany przez wojska Milicza. Zrozpaczona Celina każe sobie puhar podać, by łyż do niego sączył, lecz to jej nie przeszkadza, wra-

gdyby Kleofas życie postradał, poszukać sobie innego adonisa.

Ten akt II-gi, o którym właśnie piszemy, jest najlepszy z całego dramatu, jedyny nawet, w którym talent p. Kozłowskiego przebiega się. Autor doskonale przedstawił ów świat barbarzyńsko-elegancki, owych rozromansowanych rycerzy-zbójów i kobiety współczesne. Niech nas nie razi przesada w słowach, w czynach, w wypowiedzeniu uczuć miłosnych, w zbieraniu łyż do puharu. Tak było! I możemy tylko powinszować autorowi, że tę sprawę obyczajów dawnych pochwylił, odmalował z właściwą przesadą, unikając przytem karykatury, od której niełatwo było się uchronić. Ale, od tego aktu drugiego, dramat słabnie, zajęcie się widza małe, a krytyk niemiłego zawodu doznaje.

Do dworu księżnej przybywa z prośbą Milicz o ulaskawienie syna. Ale spotyka się z zaciętym uporem Berty, która wszelkie propozycje, stawiane przez wodza taborytów, odrzuca, dysze taką samą zemstą jak i księżna Renata, której nieznane są słowa przebaczenia i łaski. Z Labohradu nie wyszedłby cało ani Lumir ani jego rodzic, gdyby nie ksiądz Joachim, który w imię cierpienia i śmierci Chrystusa każe zrozpaczonemu ojcu dziecko oddać. W obec słów kapłana czuje się bezsilną Renata: on jest panem jej duszy, sumienia jej w rękę swym trzyma i buntującą się wciąż gniew do kolan swoich. Milicz wraca spokojnie do obozu, ale Lumir, jako zakładnik, na zamku pozostać musi: tego żąda komendant twierdzy, Rudolf, wyjawiając rzecz nieznaną jeszcze przez księżną, że—zamek już dalej nie może się bronić i pierwszy lepszy szturm taborytów w gruzy go pogrzebie.

Wieść ta przeraża niewiasty, ale księżnej Renaty nie pozbawia mocy ducha. Niech światła płoną, pieśń dzwoni, by wróg wiedział, że Labohrad jest pewny zwycięstwa. Ta jednak wiadomość ochrania od śmierci Lumira, rozpoczynają się nieprzyjacielem układy, chorągiew biała już wieje z murów zamku, a Milicz, by uratować życie syna, przyjmuje wszystkie warunki, związa obóz i ustępuje ku Taborowi.

Następuje pierwsze spotkanie się Berty z Lumirem. Gdzieś go widziała;—przypomina, że zaszedł jej drogę na wałach. Z rozmowy dowiaduje się Berta, że Lumir jest dobrowolnym jeńcem, dziwi ją zagadkowe słowa miliczowego syna, wyrażona zaś jasno chęć pozostania na zamku, nasuwa myśl, że Lumir się kocha. Ach! szczęśliwa ta, którą kocha. W sercu Berty rodzi się miłość do rycerskiego młodzieńca.

Lecz o ile z zawieszenia broni czy zawarcia pokoju rada jest Berta—o tyle palająca wciąż zemstą Renata, dysze żądzą zgniecenia Milicza i wytepienia nienawistnych jej taborytów. Tej myśli (zawiklanej nieco w przeprowadzeniu) ma pomódz Berta. Lumir jest młody, Berta piękna. Niech rozmiłuje go, rozkocha, a nawet... odda się mu, to pomoże do rzucenia kości niezgody między synem a ojcem. Ta myśl oburza Bertę i następuje tu jedna z piękniejszych scen dramatu—utarczki kobiet. Berta przyznaje się do miłości, przyznaje się, że Ernesta syna Renaty a swojego męża nieboszczyka nie kochała nigdy, że wstrętną jej jest ta walka mordercza, te gwałty, ta krew przelewana. Renata jak pionunem zostaje rażona, chwiewie się i umiera z przeklęctwem na ustach. Przeklęctwo wypełnia się szybko, bo oto, Radowan władzę nad Taborytami bierze w swoje ręce, zrywa układy i gotuje się do szturm Labohradu.

Widzimy więc tu dużo niespodzianek, zagadek, poświęcenie prawdy i psychologii dla scenicznego efektu. Kiedy Lumir mógł ujrzeć i zakochać się w Bercie? w jaki sposób Antoszka o tej miłości dowiedziała się—nic nie wiemy. Jest wzmianka, że Bercie zaszedł drogę na wałach. Czy Labohradu? Cóż wtedy straż robiła, gdzie był czujny Rudolf, pozwalający wrogowi tak spokojnie po wałach chodzić i zachodzić drogę księżnej? Piękny zaś wybuch Berty, o jej wstręcie do krwi i mordów—jest równie niespodzianką dla nas. Widzieliśmy ją okrutną bezecznie w scenie z Miliczem, któremu powiedziała wręcz, że Lumira do rąk Renaty oddaje—to

jest, na ofiarę zemsty tej krwawej kobiety. Jest to skok nie zrozumiały dla psychologa, nie umotywowany niczem, nawet budzącem się uczuciem dla Lumira. Niespodzianką także jest dla nas postanowienie Radowana, nowego taborytów wodza, zostania pod Lohohradem, gdy, w akcie pierwszym, widzieliśmy go przeciwnikiem tej myśli.

Jedyną postacią konsekwentnie doprowadzoną do końca jest—Renata. Pojęta doskonale, wspaniała w swej boleści, łamiąca się między pragnieniem zemsty a uległością dla kapłana, gotowa zawsze do zbrodni, niezapominająca jednak o duszy własnej, o jej zbawieniu, której przyniesie—pokuta po dokonanych grzechach śmiertelnych.

Od aktu trzeciego, dramat słabnie, upada w pomyśle i ani na chwilę nie podnosi się już nad poziom banalności. Autor nie wie sam, jak się ma z nagromadzonych trudności wywikłać, następują wypadki po wypadkach, szybko, ale żadną logiczną nicią nie powiązane.

Mężny Rudolf, widząc klęskę nieuchronną, postanawia zamek podpalić, a uwięzionego Lumira zgładzić, wywieszając trupa jego na wieży. Aby temu przeszkodzić, Berta musi miłość swoją wyjawiać Lumirowi, a ratując go, z nim razem uciec.

Jak to uczynić?

Autor nie widział innego sposobu, jak kazać Rudolfowi dowództwo nad częścią zamkowej załogi oddać w ręce—trubadura. Uwolniony Kleofas ułatwia widzenie się Berty z więźniem, następuje, dwukrotnie, przez nadchodzącą straż inną, przerwany duet miłosny, wreszcie kochankowie uciekają i—wpadają w ręce taborytów.

Akt czwarty byłby doskonałym librettem do opery, gdzie więcej nam chodzi o słowa niż o logikę. Taki Rudolf nie powierzyłby trubadurovi, który z szablą nie wiele miał do czynienia, straż w twierdzy, a nawet dziwną nam się wydaje trwoga księżny Berty przed nadchodzącą strażą, ukrywanie się jej, jakby ona nie była panią zamku, jakbyśmy jej niewidzieli wydającą rozkazy i nie widzieli słuchającego ją żołdactwa. Azali nie mogła wyjść nocą na wały? czy straż miałaby prawo spytać ją nawet: dla czego wyszła? Ale gdyby Rudolf niepostawił Kleofasa na czatach, niktby bez rozkazu komendanta zamku, nie otworzył bram więziennych; gdyby Berta nie uciekała przed strażą goniącą cień kobiety, scena ta mniej miałaby efektu teatralnego.

Dramat kończy się skazaniem przez Radowana Berty i Lumira na całopalenie. Odbywa się sąd, ale pastwienie się nad temi ofiarami wodza naczelnego wzbudza ku niemu niechęć taborytów, tem bardziej, że strażę znać dają o podpaleniu zamku przez Rudolfa i jego rozpaczliwej wycieczce przeciwko nim. Milicz obrany zostaje na nowo wodzem—wyrusza przeciwko wrogom, pozostawiając w obozie syna, kochankę jego i Radowana na to tylko, by ten wezwał ukrywających się w pobliżu Adamitów (sektę chodzącej nago), za których pomocą, nieszczęśliwi na stosie płoną. I oto widzimy znowu niekonsekwencyą. Milicz, otrzymawszy władzę na powrót, nie pozostawiłby na swobodnie Radowana, a nie pozostawiłby, po pierwsze dla tego: że—jako władcy jego chwilowy uzurpator—winnien był śmierci;—po drugie—że nie przebaczyłby mu nigdy sądu wydanego na syna. Ale gdyby Radowan był ujęty, czy doraźnym uderzeniem w łeb buławą—zabity, kochankowie nie usmażyliby się na stosie. Poświęcono więc i tu prawdę dla efektu śmierci w płomieniach, a może więcej dla tego, że już autor nie wiedział sam, jak wyjść z tego labiryntu intryg i niespodzianek.

Mieliśmy już zrzeczność na innym miejscu, pisząc sprawozdanie o dramacie, p. Kozłowskiego, zrobić uwagę autorowi, że, w akcie piątym, scena pojawienia się prawie nagich adamitów, robi wrażenie za komiczne; że mimowoli widz parsknąc śmiechem musi, widząc skoki i przeginańia się golców, ubranych w obeisłe trykoty, imitujące doskonale ciało nagie, ale żadną nieprze-

rażające grozą. Przeciwnie—kochankowie na stosie płoną, a widzowie śmieją się.

O rymowaniu autora mielibyśmy też coś do powiedzenia. Zaznaczamy tu tylko, że gdzie nie gdzie średniówka wiersza źle wypada, co nadaje nieprzyjemną chropowatość wierszowi.

Sztuka była obsadzona wybornie i grana świetnie. Pani Rakiewiczowa, w roli Renaty, przypomniała najświetniejsze czasy warszawskiego teatru; niech nasze artystki pychę z serca zrzucą a przypatrzą się tej grze rozumnej, niech nauczą się jak mówić potrzeba, jak przerażać samą grą twarzy. Leszczyński był niezrównany, rolę Milicza oddał tak, jak ją mógł oddać artysta takiej, jak on miary. Rapacki w roli księdza Joachima był skończoną, doskonałą postacią kapłana, oddanego Bogu, z ogromnym spokojem władającego duszami owieczek. Pięknie i pani Lüdowa odegrała trudną rolę Berty, przebiegłym Radowanem był Ładnowski, a i p. Bolesławski w niczem nieustępował pierwszorzędnym artystom naszym. Należy się też i p. Rolandowi pochwała, za grę sumienną, pełną uczucia i prawdy.

Wytknięte przez nas błędy i usterki może autor „Taborytów“ przyjąć do serca lub nie przyjąć, uznać je za słuszne lub za chybione—mamy spełnił nasz obowiązek, a nie bawiać się w cześć komplementy, daliśmy tem dowód, że talent jego cenimy i że spodziewamy się po nim rzeczy znacznie lepszej.

Kazimierz Gliniski.

PRZEBACZ!

OBRAZEK.

Zenon, siedząc nad partya szachów, nie zdawał się być wszakże zbyt przejętym przebiegłą kombinacją przeciwnika; lecz za to tamten, gracz pierwszej wody, nie mający w grze przyjaciół bodaj najszczerzych, z tryumfem zawołał:

— Szach królowi i królowej!

— Przegrałem—rzekł obojętnie Zenon, chcąc przy tych słowach zakończyć grę, która miast go bawić, niezmiernie dzisiaj nużyła.

— O przepraszam! — zaoponował energicznie Waclaw,—król może być jeszcze zastąpiony pionem.

— W każdym razie przyjmuję za przegraną i składam broń, — zakończył Zenon, powstając od stolika.

Ah, tak, to co innego!

— Możebyś się Wacku napił czarnej kawy? — zapytał teraz gospodarz, —mam też niezłe dopasowaną do niej butelczynę znośnego koniaku, a ty lubisz to przecież?

— Owszem, koniak z domieszką kawy, — zaśmiał się Waclaw, —poważam!

Gospodarz nacisnął guzik dzwonka elektrycznego, poczem wydawszy odpowiednie polecenie, rzucił się niedbale na stojący nieopodal fotel.

Waclaw, jako cioteczny brat, a co najważniejsza, druh serdeczny Zenona, był u niego tak swobodnym, jakby się we własnym znajdował domu; to też położywszy się na otomanie z rękoma podłożonemi pod głowę i puszczać błękitne kółka dymu, jakby od niechcenia niespodzianie zagadnął.

— Cóż teraz będzie?

Zenon spojrział na brata pytająco.

— Czyś nie pojął o co idzie? — ciągnął, nie spuszczać oczu z niebieskawych obłoczków ulatującego w górę dymu tytuniowego.

— Zaiste nie!

— No, bo, mój kochany, miałeś żonę — nie masz żony, a dom i całe to gospodarstwo dziwnie nie licują z pojedynczą personą Jmć pana brata.

Zenon nagle spochmurniał.

— Nie mów mi o tem! — mruknął przez zęby; — wiesz, że nie lubię wspomnień przeszłości.

— Ty zaś wiesz o tem — powtórzył Waclaw — że przede mną, według naszej dawniejszej umowy, niewolno robić żadnych zgół tajemnic, jeśli chcesz, abym i ja również był względem ciebie szczerym i otwartym...

— Ja też nic nie ukrywam...

Waclaw silnym rzutem opuścił nogi na ziemię, a podparłszy dłońmi brodę, uparcie się przez czas pewien bratu przypatrywał, w końcu zawołał:

— Kłamiesz!

Zenon, zagadnięty w tak dosadnym stylu, smutnie się jeno pod wąsem uśmiechnął, co widząc Waclaw, z wyraźnym już odcieniem zniecierpliwienia powtórzył:

— Kłamiesz!

— Czego więc chcesz ode mnie?

— Więcej serca, mniej fałszu! Od dziesięciu miesięcy nie żyjesz z żoną i od tego też czasu przestałeś być ze mną szczerym, a to się nie godzi! Czekałem dość długo na otworzenie zatrzaśniętej furty, wiodącej do serca twojego, lecz widzę, że ty ani myślisz o dobrowolnem odsunięciu rygla!—czyż zatem mam użyć siły z włamaniem moralnem, że się tak wyrażę, aby wycisnąć rdzeń tajemnicy? Osnowę jej główną znam o tyle tylko, o ile ją zna i opinia; ale przecież do licha mam prawo wymagać czegoś więcej od ciebie, bom nie obcy, a brat, nie przeciętny towarzysz — a druh jedyny, jak dotychczas przynajmniej,—dodał znacząco.

Zenon chwycił go za rękę, a potrząsając nią silnie, szczerze wzruszony, mówił gorączkowo:

— Ty jeden, jedyny przyjaciel!

— Tak to lubię! A więc wyznaj mi wszystko; być nawet może, że skromna rada braterska na coś się też przyda, bardzo to być może... — powtórzył ze znaczącym naciskiem...

Służąca wniosła teraz maszynkę, a gdy kawa była już nalana, Waclaw napełnił sobie kieliszek koniaku.

— Ty nie pijesz? — spytał, widząc, iż Zenon odsuwa od siebie butelkę.

— Pij sam i wybacz — ja dziś nie mógłbym przełknąć ani kropli jakiegokolwiek trunku...

Przez dłuższą chwilę panowało milczenie, aż wreszcie Zenon, przetrząsłszy dłonią po białem czole, na którym chmura ukrytej troski wyłobila widoczne piętno swoje, począł:

— Nie dawniej jak przed rokiem jeszcze pod tym samym dachem własnej siedziby, czułem się szczęśliwym, a i ona, zdawało się, że odplacała mi szczerem uczuciem, w dziecku zaś widziałem świat cały. Mała, siedmioletnia Hela była tak rozkoszną!...

Łzy mu poczęły tamować mowę, lecz opanowawszy wzruszenie, mówił dalej:

— Na raz runęło to szczęście moje. Marta zdradziła mnie.

— Czy jednak jesteś pewnym zdrady?...

— Schwytałem Martę na schadzce.

— Czegoż to dowodzi?

Zenon spojrział uważnie bratu w oczy, jakby powątpiewał o zdrowiu jego władz umysłowych.

— Nie patrz tak na mnie, bo ci jeszcze raz powtarzam, że to niczego nie dowodzi... Można iść na schadzki...

— I być naiwnym! — przerwał zniecierpliwiony Zenon.

— Komplement twój kładę na karb podrażnienia nerwów: wracając jednak do przedmiotu, powtórzę ci tu historję, którą chyba każdy z nas czytał w młodości: Oto pewien jegomość, zajęchawszy przed nocą do oberży, stojącej pod lasem, pomimo ostrzeżeń furmana, objaśniającego, że gospodynię miejscową podejrzewa o ograbianie podróżnych,—zażądał noclegu. Nad ranem ujrzał w rzeczywistości ową gospodynię, zbliżając się po cichu do jego łóżka z olbrzymim nożem w ręce. Sięgnawszy nieznacznie pod poduszkę po rewolwer, udając śpiącego, z przymrużonemi oczyma oczekiwał, aż właścicielka oberży rzuci się na niego. Wtedy to baba wspiła się na palce... podnosi nóż nad jego gardłem i gdy leżący na łóżku jegomość ma już do niej palic z rewolweru, ona ukroiwszy kawał słoni-

ny, leżącej na półce, zawieszanej u góry, wraca po cichu, jak i weszła do jego pokoju.

— Czegoż to dowodzi?—zapytał teraz z kolei Zenon,—jakby przedrzeźniając brata.

— Tego, że podróżny, zamordowawszy oberżystkę w chwili, gdy nóż wznosiła nad nim, przysięgłby, że miał do czynienia z fachową robotniczką, gdy tymczasem to była najzacniejsza w świecie niewiasta, co zatem idzie, że chcąc kogoś potępić, należy pierwej mieć niezbite dowody jego zbrodni...

— Ha, skoro tak,—zawołał Zenon,—w takim razie dam ci na żądanie fakty niezbite.

— Bardzom ich ciekaw?...

Zenon począł przechadzać się po salonie, — wreszcie tak rozpoczął:

— Bywał u mnie bardzo często, jak wiesz, baron Kepling. W ostatnich wszakże czasach zauważyłem, iż począł on zwracać baczniejszą uwagę na moją żonę, obsypując ją mnóstwem grzeczności, przechodzących miarę zwykłych towarzyskich form, cechujących zachowanie się przeciętnego gentelmena.

— Czy przypuszczasz, iż żona twoja dawała jakie powody, ośmielające barona w jego postępowaniu?

— Tego nie zauważyłem, lecz zbyt przebiegła była ona, aby miała zdradzić się przede mną.

Wacław uśmiechnął się znacząco, lecz Zenon nie spostrzegłszy tego, mówił dalej:

— Oboje nie mogli po mnie poznać zmiany, któraby ich naprowadziła na myśl, iż domyślam się wszystkiego, a jednak Marta od tej chwili stała się dla barona pozornie zimną, a nawet niby unikającą jego towarzystwa. Była to wszakże tylko mistrzowska gra sprytnej nad wyraz kobiety. Intuicyjnie odczuwając zło, tkwiące już w umiłowanym dotychczas przeze mnie ognisku domowym, czekałem jeszcze... Bóg wie czego! Trochę co prawda wstrzymywała mnie obawa, abym nie popełnił niedorzeczności, a przytem nie chciałem działać bez tych, jak się sam wyrażasz, niezbitych dowodów; dość, że oczekując końca tajemniczej kampanii, prowadzonej gwoli upadku moralnego i przeciw honorowi mojego nazwiska, dławilem w sobie płomień, mający jednakże prędzej lub później wybuchnąć.

— Czy baron, jak sądzisz, domyślał się twojej nienawiści ku niemu?

— Nie sądzę, lecz mimo to pewnego razu, siedząc przy tem oto biurku, zapytał mnie, czemu nie jestem względem niego szczerym jak dawniej i jaka może być tego przyczyna.

— A ty coś mu na to odpowiedział?

— Ja, będąc wówczas dziwnie jakoś zdenerwowany, odparłem:

— Ot, widzisz pan, czasem lubię pozostać sam jeden...

— Kepling na razie, jakby nie rozumiejąc intencji, popatrzył uważnie na mnie — to znów na Martę, aż nagle zbladł i po chwili powstał z krzesła. Pożegnawszy się z Martą i mnie zaledwie kiwnąwszy głową, szybko opuścił mój dom.

— Coś ty uczynił Zenonie! — zawołała Marta, załamując ręce.

— Pani miejsce tam w buduarze! — zgrzytnąłem i nie czekając na jej obłudne wywody, wyszedłem do swego gabinetu, gdzie się bawiła lalkami jedyna pociecha w nieszczęściu — ukochana moja Hela.

— Porwawszy dziecinę w objęcia, obsypywałem ją pieścizną szczerze cierpiącego serca.

— Na białe czoło dzieciny upadła teraz łza gorąca. Helenka uniosła głowę:

— Co tobie?... tatusi!... — spytała — ty płaczesz?

— Zwróciwszy szybko twarz, otarłem nieznanie łzy, a uśmiechnąwszy się do dziecka, rzekłem:

— Zdawało ci się Helku, że tatusi płakał; tatusi nigdy nie płacze, bo tatusi jest mężczyzną.

— Mała, zarzuciwszy mi więc rączyny na szyję, całować mnie zaczęła:

— Tatusi dobry! — szczebiotała dziewczę, — i mama także dobra; tatusi musi być bardzo szczęśliwy, bo Hela kocha i tatuska i mamusię

i Hela będzie grzeczna i Hela będzie się teraz

uczyla czytać i Hela będzie duża i Hela będzie uczona...

Zenon przy tych słowach otarł łzę, błyszczącą znowu w jego oku.

— Mów dalej — szepnął Wacław, — mów dalej...

— Na drugi dzień Kepling napisał list, z żądaniem natychmiastowego wyjaśnienia mojego postępkę; list powyższy zostawiłem bez odpowiedzi.

— Co tu błędów! co tu błędów! — wołał Wacław, patrząc z uśmiechem politowania na brata. No i jakże baron następnie działał?

— Przesłał sekundantów. Pojedynek miał się odbyć w trzy dni później.

— Na jaką broń?

— Na pistolety, z zachowaniem najostroższych warunków.

— Czyś wiedział o tem, że Kepling jest sławnym mistrzem w sztuce strzelania, że pod zakład wybija asy z kart wiszących na ścianie?

— Wiedziałem tak dobrze, jak i o tem, że idę na śmierć prawie nieuniknioną, gdyż o ile on był mistrzem w swoim rodzaju, ja, przeciwnie, dopiero po wizycie sekundantów począłem się uczyć w strzelnicy obcej dla mnie sztuki. Gorąco jednak pragnąłem ostatecznej rozprawy.

— Czy żona wiedziała o mającym się odbyć spotkaniu?

— Nie mówiłem z nią ani słowa; tamten jednak musiał ją pocieszyć zapewnieniem, że wolną zostanie.

— Na czemże opierasz przypuszczenia?

— Śledziłem jej dwuznaczne postępowanie i oto, zauważywszy, iż podczas gdy na drugi dzień siedział w moim gabinecie, wysunęła się cicho z mieszkania; ja szybko porwawszy kapełusz, wybiegłem za nią. Niespostrzeżony szedłem po drugiej stronie ulicy i oto wkrótce ujrzałem Martę, wchodzącą do domu Keplinga. Dom to był parterowy w rodzaju maleńkiego pałacyku. Zajmował go tylko baron Kepling i nikt oprócz niego tam nie mieszkał.

— Czegoż to dowodzi? — powtórzył po raz już trzeci Wacław, jakby chciał do reszty zniecierpliwieć tem brata.

— Czyś oszalał?! — zawołał seryo już rozirytowany Zenon, — jakich chcesz-że ty jeszcze dowodów?!

— Później o tem, teraz wyjaśnij mi jeno, jak rozstałeś się z Martą?

— Gdy wróciła do domu, pierwszym moim powitaniem był wyraz, którego nigdy ani przedtem, ani też potem nie usłyszała z ust moich najbardziej nawet lekkomyślna kobieta...

— Cóż na to żona?

— Zalana łzami, uciekla co prędzej do swego pokoju i tam oddana niewczesnej rozpacz, rozchorowała się na dobre.

— Czyś ją ratował?

— Lokal, jak widzisz, ma dwa wejścia, zarygłowałem więc drzwi jej pokoju, a polecivszy Martę opiece lekarza i wynajętej w tym celu kobiety, zabroniłem domownikom nawet wspomnienia mi o chorej.

— Przez ten czas wszakże stał się fakt niesłychany, o którym wiesz zresztą bardzo dobrze, iż baron w ciągu dwóch dni sprzedał swój pałacyk, pojazd i konie, cichaczem opuścił miasto. Powiadają, że wyjechał do Alzacji, do swojej matki, nikt jednak nie wie tego napewno. Do mnie tylko napisał list, iż z powodów od niego niezależnych bić się nie może. Zapewniał przytem szlacheckiem słowem honoru, iż mogę go podejrzewać o wszystko, jeno nie o obawę śmierci.

— Byłem wściekły! Narazić mnie na śmieszność, postawić w dwuznacznej pozycji całą sprawę, aby opinia sądziła, iż Kepling uważa mnie za intruza lub coś podobnego, to było rzeczą okropną! a jednak musiałem znieść i to upokorzenie! Po kilku tygodniach walki wewnętrznej uspokoiłem się o tyle, iż gdy wbrew nawet zakazowi doniesiono mi, że Marta już wstała, wówczas postanowiłem zamienić z nią słów parę. Zgrzytnął zamek we drzwiach przez czas tak długi zamkniętych, a ja, na pozór zimny, wszedłem do jej pokoju. Była blada jak chusta, oczy miała zapadnięte w głąb posiniałych orbit, a je-

dnak te oczy błyszczały blaskiem podrażnionej dumy.

Przez chwilę trwało milczenie, wreszcie Marta je przerwała:

— Zmieszana z błotem nieuzasadnionych podejrzeń, zbezczeszczone słowem, płamiącym nie tylko mnie, lecz i dziecko — odchodzę, a panu niech Bóg przebaczy krzywdy! Pozwól mi tylko widywać się czasem z moim dzieckiem na gruncie neutralnym i podczas, rozumie się, pańskiej nieobecności.

— Dobrze — rzekłem lakonicznie. Wtedy to Marta porwawszy w objęcia Helenkę, której nigdy nie mogłem zabronić przesiadywania w matczynym pokoju, całowała ją długo, bardzo długo, aż nagle oderwawszy się od płaczącego dziecka, szybko wybiegła z mieszkania. Od tej chwili już jej nie widziałem ani razu. Posag odesłałem wujowi, który się nią opiekuje, nie chcąc się jednak z nim nawet widzieć; pieniądze te otrzymałem z powrotem nietknięte.

Wacław westchnął boleśnie, Zenon zaś kontynuował w dalszym ciągu:

— Wkrótce Hela, pozbawiona widoku matki, tęsknić coraz bardziej zaczęła; a w cztery miesiące potem, zaziębiwszy się silnie, zachorowała na zapalenie płuc i oto, pomimo gorączkowego ratunku, zmarła na mojem ręku. A jakie miała oczy, powiadam ci, umierając!... a usta jej coraz ciszej szeptały: oddaj mi tatusiu mamę... oddaj, tatusiu kochany!... o, ona tu sto! taka cicha!... taka pokorna mamusia, a podejść tu nie może, bo się ciebie boi, tatusiu!...

Głos mówiącego łamał się coraz bardziej, to też zbyt długo hamowane uczucie wybuchło teraz z podwójną siłą.

Zenon ryknął płaczem, aż Wacław wystraszony podbiegł do niego.

— Jedno się zło nie odstanie... — mówił, usiłując uspokoić brata, — lecz drugie... do naprawienia...

— Jakim sposobem?

— Marta jest niewinna...

Zenon przez łzy uśmiechnął się niedowierzająco.

Wacław wówczas, wzięwszy go za rękę, uroczyście mówić począł:

— Jestem szlachcicem tak jak i ty z dziada pradziada i jako przytem człowiek nigdy nie splamiony żadnym fałszem, przysięgam ci na pamięć mojej ukochanej matki, spoczywającej w grobie! i klnę się przytem słowem honoru, że twoja żona Marta jest najszlachetniejszą z kobiet! i nigdy w życiu ciebie nie zdradziła. Umysłnie słuchałem cię w skupieniu ducha, chcąc zbadać jak się zapatrujesz dzisiaj jeszcze na mniemaną zdradę własnej żony; widząc jednak, że trwasz w złem przekonaniu, widzę że interwencja moja będzie tu potrzebna, azatem postanowiłem rzucić inne światło na wasze życie. Przed dwoma tygodniami byłem u wuja pani Marty i tam dopiero po długich prośbach dowiedziałem się całej prawdy z ust dumnej i zamkniętej w sobie kobiety. I oto w krótkich słowach przedstawię ci ją nieco inaczej, niż ty szaleńcze, zdenerwowana ofiaro końca wieku sądziłeś.

Zenon coraz bardziej zdawał się być zdumionym, nie jednak nie mówił, jeno mu usta drgały nerwowo.

— A więc, tak było: Baron kochał się w Marcie, to prawda, nie wyznał jej wszakże miłości swojej; ty jednak podejrzewałeś ją o utrzymywanie tajemnych stosunków z Keplingiem. Wymówiwszy w sposób zbyt ostry dom baronowi, naraziłeś się na pojedynek; Marta zaś, dowiedziawszy się przypadkowo o wyzwaniu, a kochając cię nad życie, poszła błagać na klęczkach Keplinga, aby wyjechał z kraju, co jej baron na skutek zakłęb gorących po pewnym wahaniu przyrzekł uczynić i, jak widzisz, święcie dotrzymał słowa.

— O prawdzie słów powyższych przekonałem się jeszcze w inny sposób, a mianowicie... z ust samego Keplinga...

Zenon blady jak trup, chwiejnym krokiem zbliżył się do Wacława.

— Z ust Keplinga... — powtórzył matowo.

— Tak jest, spotkawszy się z nim w Wiedniu na dworcu kolejowym.

— I cóż ci mówił?

— Z początku nic nie chciał powiedzieć, lecz gdy mu wyznał, że wiem o wszystkim, wówczas Keplingowi rozplotły się usta i słowo w słowo powtórzył mi historię, opowiedzianą przez nieszczęśliwą twoją żonę, a powtórzył ją, zapewniając słowem honoru.

— Czemuż Marta mi tego od razu nie wyjaśniła!

— Znając ciebie aż nadto dobrze, wiedziała, że potępiłbyś ją za prośbę błagalną, zanesioną do twojego przeciwnika, aby wspomniał mi darował jej mężowi życie; była też przekonana, że nie przyjąłbyś poniżającej cię ofiary, gdy zaś przyjęła nieświadomie, nie gwałciła w niczem twoich zasad.

— Po pewnym wszakże czasie może być, że i wyznałaby przed tobą wszystko, gdyby nie twoje postępowanie, nie wytrzymujące krytyki. Słowem, brak rozwagi, gorączka i wybujała zbytnio fantazyja nerwów, wypędziła uczciwą towarzyszkę życia za progi domowego ogniska, zabiła ci jedyne dziecko twoje, ciebie zaś przyoblekła w moralne szaty bolejącego nędzarza.

Skończył, a Zenon jak posąg zaklęty tajemnym rozkazem, stał tak skamieniały, czując, że w oczach mu się mroczy, a serce przejmuje nieopisane uczucie żalu.

— Niewinna—powtórzył jak echo - i co teraz czynić?!

— Czy gotów byłbyś prosić ją o przebaczenie?

— Ależ ona nie przebaczyłaby mi nigdy!...

— Wartoby jednak spróbować...

Zenon nie wymówiwszy więcej ani słowa, rzucił się bratu na szyję.

— A widzisz, nieopatrzny synu końca wieku, jak ci to już myśl sama rozjaśnia zaciemnione nadzieje.

— Powiedz gdzie jest Marta?... może ona tu gdzieś niedaleko?...

— Ha, może też kiedy i ujrzyś jeszcze żonę, dzisiaj jednak wartoby przedewszystkiem pomyśleć o odwiedzeniu grobu Heli — wszak to dzień zaduszny!

— A tak! — westchnął Zenon; — wczoraj jeszcze zakrzętałem się około dzisiejszego oświetlenia grobu i gdy więc zmrok zapadnie, możebyś poszedł ze mną Waclawie na cmentarz?

— Ależ owszem! — toż nawet sam miałem ci proponować, abys ty mnie właściwie towarzyszył, więc też skwapliwie akceptuję propozycję.

Z nastaniem zmroku obaj bracia wsiadłszy do powozu, pojechali na cmentarz, dokąd tłumy zwartego ludu podążały do rogatek miejskich.

Zenon, znalazłszy się na cmentarzu, począł iść szybkim krokiem, o ile na to pozwalał ścisk niebywały, w dobrze znanym kierunku, Waclaw zaś podążał tuż za nim.

Zenon nie umiał zdać sobie właściwej sprawy z rodzaju uczuć, miotających nim od pewnego czasu; czuł tylko, że serce wali mu jak młotem, a skronie silnie rozpułowały.

Myśli całą lawą haotycznych szeregów leciały teraz het przed siebie, to znów się cofały strwożone — a w kalejdoskopie zaniepokojonej wyobraźni, co chwila przekreślały się obrazy, tworząc co raz jednak dziwniejsze widoki

Słowem, nerwy się rozwichrzyły w Zenonie

jak rozdarte podmuchem wichru pajęczyny... Za chwilę już minie wąską ścieżkę, potem skręci nieco na prawo i oto stanie przed grobem ukochanego dziecka... Ścieżkę już minął... skręcił nieco na prawo... i już... oto już stoi nareszcie przed oświetlonym grobem...

Dokoła szarego granitu palą się lampki kolorowe a na tle migotliwego światła... Zenon ujrzał Martę, pogrążoną w gorącej modlitwie.

Spojrzał na nią — ona też odpowiedziała mu długiem a łzawem wejrzeniem...

W jednej chwili, zapomniawszy o świecie całym, ukląkł obok tej, którą sponiewierał w tak okrutny sposób.

Trzymała ona w drżącej dłoni książkę do nabożeństwa, Zenon zaś rzuciwszy okiem na otwartą kartkę, począł za Martą zcicha powtarzać:

„Panie, spraw miłościwie abyśmy przez krzyż i śmierć Twoją do chwały zmartwychwstania przyprowadzeni byli i dusze zmarłych aby odpoczywały w pokoju wiecznym. Amen.“

Zenon ujawszy zlekka drżącą rękę żony, nie mógł na razie wymówić ani słowa, bo go łyż formalnie dławily, wreszcie po długiej chwili wyszeptał jedno, jedyne tylko słowo:

— Przebacz!...

Marta za całą odpowiedź obdarzyła go ciepłym, serdecznym uściskiem dłoni, a uścisk ten starczył mu teraz za najpiękniejsze mowy przebaczenia, bo łączył go tym razem już nierozdzielnie z ukochaną istotą.

Stanisław Żyżkowski.

K O N I E C .



MYŚLI.

Zwątpienie i śmierć, to najwyższa próba duchów — ostatnia, która przez nie zwyciężoną będzie! Gdyby jej nie było, o całe niebo zmniejszałyby zasługę ich! a bez zasługi —

bez trudu, jakżeż stać się sobą samym, jakże nieśmiertelnym być?

Zygmunt Krasiński.

Śmierć jednego jest szaleństwem dziecka, tam, gdzie trza śmierci tysięcy.

Tenże.

Żaden lud co stał się narodem, nie umiera na ziemi.

Tenże.

...Nie umiera się gdy śmierć zbawieniem
W dniu szczęścia skonasz, zginiesz w dniu zwy-
[cięstwa]

Niezatracałnys, gdy żyjesz cierpieniem!

Tenże.

Przed godzinami śmierci są pioruny,
Które człowieka budzą i znów czynią
Człowiekiem.

J. Słowacki.

Po śmierci się jasno i przyjaźń ludzka pokaże.

Tenże.

Lecz do gliny
Kiedy wejdziemy, my straszniejsi z duchów,
To mamy straszne w dzieciństwie godziny,
Gdzie duch bez żadnych więzów i łańcuchów
Ma ostrzeżenie. W mogilne doliny
Chodzimy chętnie... niby dla posłuchów,
A duchy wtenczas rozmawiają z nami
Same lub tylko natury ustami.

Tenże.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: arkusz 4 i 5 powieści, p. t. *Dla sztuki*, przez hr. A. Klinkowstroem. Przekład Z. S.

Nakładem Michała Glücksberga, Wydawcy Bluszczu wyszła z druku książka p. t.

Z MARZEŃ I ŻYCIA

POEZYJE

SELIMA

(Władysława Bukowińskiego).

Cena egzemplarza rs. 1 k. 20, pocztą rs. 1 k. 30. Do nabycia u Wydawcy i we wszystkich księgarniach.

Preść: Pogawędka, przez ?? — Regina Żółkiewska. Sylwetka historyczna (dalszy ciąg). — A gdy z młodością nadchodzi rozłąka, przez Selima. — Pamiętniki Adaminy z Bielskich Moszczeńskiej, przez J. Moszczeńską (dalszy ciąg). — Teatr, przez Kazimierza Glińskiego. — Przebacź! Obrazek, przez Stanisława Żyżkowskiego. — Myśli.

Dodatek obejmuje: *Dla sztuki*, powieść, przez hr. A. Klinkowstroem. Przekład Z. S. arkusz 4 i 5. — Przegląd mód. 24 wzorów i robót z opisem. — Sekretarza gospodarskie. — Dyspozycje obiadu.

Warszawa. — W Drukarni i Litografii Tow. S. Orgelbranda Synów, Krakow. — Przedmieście Nr. 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg. Дозволено Цензурою. — Варшава, 14 Октября 1898 г.